



1009
POLSKA YMCA
BIBLIOTEKA JENCA POLSKIEGO
ROK 1940/41

WŁADYSŁAW GÜRTLER

SZLAKIEM MYŚLIWSKIEJ PRZYGODY

(KARTKA Z PAMIĘTNIKA)



W A R S Z A W A — 1 9 3 7



THE LIBRARY OF THE
UNIVERSITY OF CHICAGO



1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900



WŁADYSŁAW GÜRTLER

SZLAKIEM MYŚLIWSKIEJ PRZYGODY

(KARTKA Z PAMIĘTNIKA)

YMCA
POLSKIEGO
POLSKI ZWIĄZEK MYŚLIWSKI
BIBLIOTEKA
Nr. 101/11



W A R S Z A W A — 1 9 3 7



POLSKI ZWIĄZEK ŁOWCÓW
BIBLIOTEKA

~~2345~~

Odbitka z „Łowca Polskiego” Nr. 21 i 22 1937 r.
w 30 egzemplarzach.

Polski Związek Łowców
BIBLIOTEKA

~~nr. 1577~~ / 2345

Gier
Ala

Z rzetelną przyjemnością, niepozbawioną może pewnej, zwłaszcza myśliwskiej tęsknoty i sentymentu, wracam zawsze myślami do czasu swej bujnej młodości, do lat niezapomnianych, przedwojennych, kiedy to ludziska żyli sobie we chwalebnej zgodzie i kiedy umiłał im życie dobrobyt powszechny.

Z obserwacji, ujawnianych niekiedy w prasie codziennej, posunięć polityków zagranicznych, należało wysnuwać wnioski, że zanoszą się wkrótce na jakąś wielką wojnę, w której zapewne chwycą się za bary wszyscy nasi zaborcy i że z chaosu wojennego wyłonić się łatwo może sprawa naszej niepodległości. Umysły polskie wypełniała więc świetlana wizja przyszłej Ojczyzny, której nam tak bardzo brakowało do pełnego szczęścia, o której śniliśmy i którą wyobrażaliśmy sobie w różowych kolorach, pokładając w niej wszystkie nasze nadzieje.

Zdając sobie jednak sprawę, że Ona sama tak łatwo bez naszych wysiłków nie przyjdzie i że na Jej spotkanie podążyć trzeba w szatach godowych, w karności społecznej i z odpowiednim przygotowaniem, pracowaliśmy gorliwie nad wyrobieniem tych cnót narodowych i nad wytworzeniem tych walorów, któreby się Jej, w naszym rozumieniu, kiedyś przydać mogły, a zatem przede wszystkim nad zorganizowaniem jednolitego bloku narodowego i usunięciem z naszego życia wszelkiego partyjniactwa. Stąd szła praca nad uświadomieniem polskiego ludu na kresach, zagrożonego niebezpieczeństwem pod względem narodowym i religijnym, nad podniesieniem go kulturalnym i ekonomicznym. Skupiała się ona w Sokole, w T. S. L., w Kółkach rolniczych, w teatrach ludowych, w Drużynach Bartoszowych itd.

Pogodny optymizm i twórcza inicjatywa ogarniały coraz to szersze kręgi polskiego społeczeństwa na wschodnich rubieżach już od r. 1903. Czytelnie T. S. L. i polskie szkoły, przez tę instytucję zakładane i utrzymywane, Kółka rolnicze, kasy Rajffeisena, teatry ludowe — mnożyły się, jak grzyby po deszczu. Powiaty we wschodniej Małopolsce szły, rzecby można, pod tym względem ze sobą o lepsze. Wzorem zaś niedoścignionym dla twórczej organizacji społeczeństwa stał się powiat tarnopolski. On pokazał, jak się te sprawy przeprowadza.

Do roboty stawali ofiarnie wszyscy: urzędnik, akademik, ksiądz, ziemianin, mieszczanin i chłop.

W owych czasach błogostanu wiodło się niemniej pomyślnie i prawidłowemu łowiectwu, bowiem wszelkiej zwierzyny łownej było na polach, w lasach i na błotach zatrzęsienie. Dobra zaś ustawa łowiecka i kult szacunku dla cudzej własności, spotykany nawet u warstw dolnych, stały na straży jej bytu i rozrostu.

Zdawałoby się, że sama przyroda była wtedy w swych przejawach o wiele lepsza od dzisiejszej. Takie wiosny, a szczególnie takie jesienie, jakie szły za sobą w latach: 1907, 1909 i 1910, np. w powiecie zaleszczyckim, nie mają w czasach teraźniejszych żadnej analogii. Trzebaby chyba dla porównania spojrzeć na Riwierę albo na wybrzeża słonecznego Adriatyku.

Nic dziwnego, że skoro przyszedł sierpień i wrzesień, a wraz z nimi to cudne jesienne słońce, hojnie sypiące snopami przyémionego światła i łagodnego ciepła, rwała się dusza myśliwska do najrozmaitiej pomyślanych wypraw ze strzelbą i z psem — przyjacielem. Dysponowałem wówczas znakomitym psem, długowłosym niemcem, Lordem. Posiadaliśmy obaj z druhem serdecznym, p. Izydorem

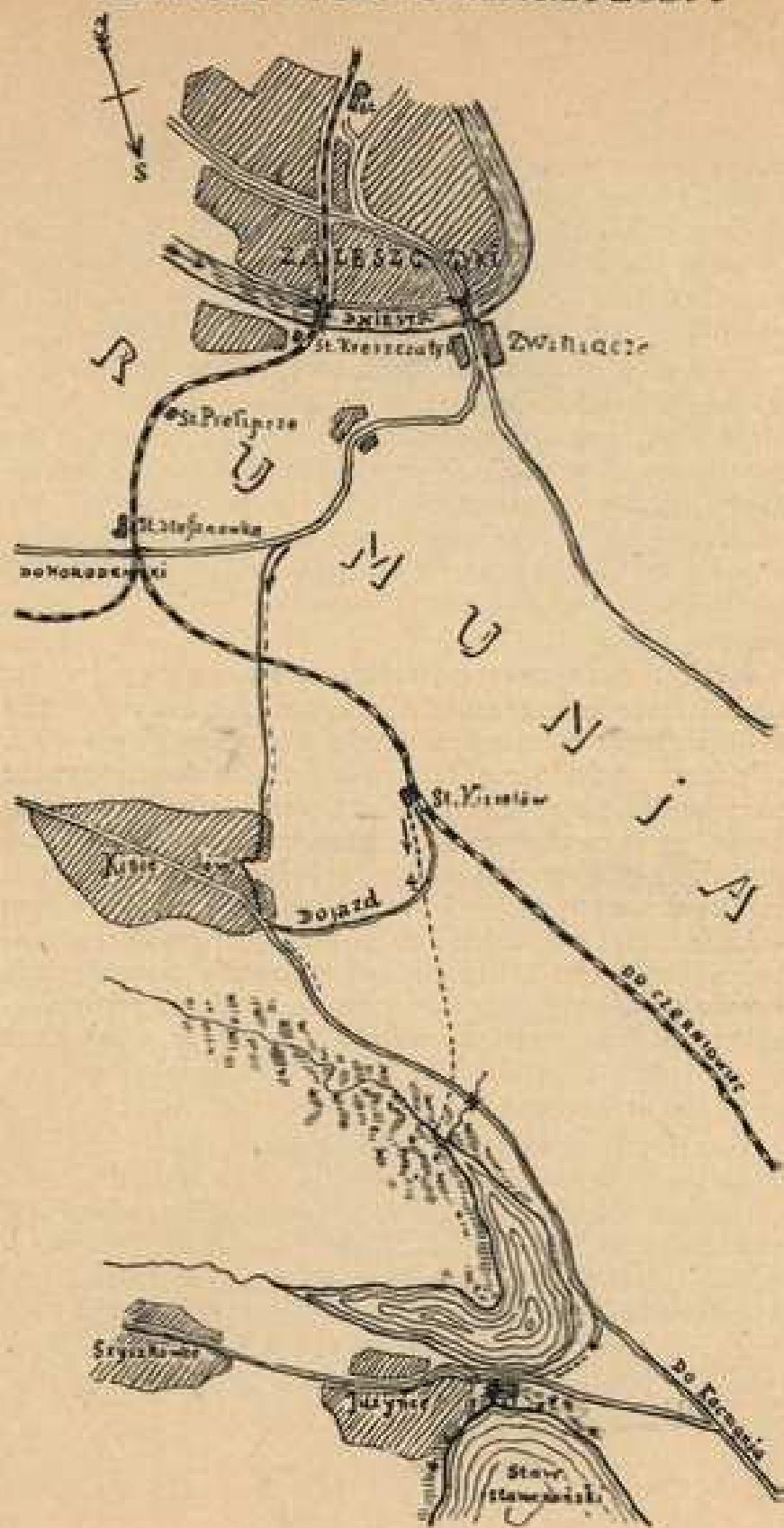
Zerygiewiczem, wspaniałe łowiska na kaczki na dwu kilkusetmorgowych, bujnie trzcinami zarośniętych stawach, w Jużyńcach i Sławczanach na Bukowinie. Miałem tam także oddanego mi bez zastrzeżeń dozorcę ryb na jużynieckim stawie i niezrównanego przewoźnika, ruskiego chłopca, s. p. Danyła Zwarycza.

Gdy więc nadeszła z tęsknotą oczekiwaną wczesna jesień, gdy zniknęły już z pól wszelkie zboża, a pozostały jeno zagony ziemniaków i kukurydzy, wraz z sadzonymi w niej arbuzami, gdy skończył się wreszcie długi, nieznośny post myśliwski, zdzierżyć nie mogłem i wybierałem pierwszy wolny od zajęć dzień, aby co rychlej wyrwać się z miasta i znaleźć wśród nieobjętych okiem bezmiarów szarych pól, łąk pachnących i sinej wody.

I odtąd zaczynały się stałe, co sobotę zwykle, wypady w ten zaczarowany kraj turkusowo-srebrnych taflí, pełnych tętniącej wrzawy przeróżnego ptactwa. Czasem jechało się tam wózkiem w towarzystwie przyjaciół, lub naszych pań, częściej jednak — przyznaję, że to wołałem — urządzałem samotne wyprawy. Wsiadałem wówczas raniutko o 5-tej do pociągu Zaleszczyki — Czerniowce i po półgodzinnej jeździe, na czwartej z rzędu stacyjce, po Kreszczatyku, Prelipczu i Stefanówce (obecnie Stefaneszti), wyskakiwaliśmy radośnie obaj z Lordem, w dzisiejszem Kiseleu, ongiś Kisielowie. Poczciwe psisko tak знаło tę trasę, że piewsze tuż przed Kisielowem dra-pało do drzwi wagonu, skowycząc cichutko.

Chcąc utrzymać linję, urządzałem sobie niekiedy głodówkę, bo i takie miewałem zachcianki. Przed wyjściem z domu czysta herbata z sucharkiem, potem przez cały dzień nic, prócz lemoniady, zabieranej w termosie, a wieczorem na stacyi kolejowej, na której o wpół do 9-ej wieczorem wsiadałem do zaleszczyckiego pociągu, garnek zsiadłego mleka z razowym chlebem... Można sobie wyobrazić apetyt,

SZLAKIEM MYŚLIWCKIEJ PRZYGODY.



Szkic sytuacyjny.

1 cm = 1000 m

z jakim zjadałem te smakołyki po całodziennym poście i brodzeniu po moczarach!...

Budynek stacyjny w Kisielowie stał w czystym polu; obsługiwał go jeden człowiek, niby kasjer, naczelnik i dróżnik zarazem. Przywitawszy się z nim i zamówiwszy wieczerzę, wyruszałem zaraz w drogę, maszerując wprost przed siebie, na południe, naprzelaj, po linii niemal prostej, do odległego o jakieś 5 km. stawu. By skrócić sobie czas, pogwizdywałem w drodze przebojowe wówczas melodie, grywane często przez żonę na fortepianie, więc „Wróc do Sorrento”, lub „Marzenie” Chopina.



Wywiad Lorda na oko...

Pierwszy postój stanowiło wydatniejsze wzgórze, z którego widać już było, jak na dłoni, wielkie rozlewisko wód, marzeniowy cel mojej podróży. Skoro je zobaczyłem, radość niezmierna rozpierała serce. Brak słów, by opisać uczucia, które mnie wtedy ogarniały. Oto przede mną roztaczał się widok niezapomniany...

Położony w zagłębieniu staw przelewał się barwną i świetlistą zarazem wstęgą w postaci jakby ogromnej rzeki. Kształt miał bowiem podłużny i tworzył zakręty, które, niby rozwierającemi się ramiony, pragnął mnie powitać i objąć miłością. I zawsze miałem to uczucie, ilekroć zbliżałem się do niego, że, jak czująca, bliska mi istota, chciał mnie ogarnąć i już zdaleka zapraszał gościnnym gestem...

Szło się ku niemu z dziwnem wzruszeniem, z nieokreśloną nadzieją i zawsze z pośpiechem. Pies ledwie mógł nadążyć. W jakąś godzinę byliśmy nad wodą, w miejscu, gdzie do stawu wpadała mała, błotnista rzeczka. Zanim się z nim połączyła, utworzyła po obu swoich brzegach duże bagnisko. Na nie więc najpierw wkraczałem i od niego zaczynałem łowy. Siedziały tam liczne kszuki i dubelty, w trawach kryły się chróściele, od których mój Lord był specem, a z rzeki zrywały się dorosłe podloty. Strzałów było dużo. Pies aportował i pracował dalej. Następnie kroczyliśmy obaj powoli brzegiem, ku znanej przystani, do której miał wjechać przewoźnik.

Już po pierwszych strzałach, bywało, mój czujny Danyło odbijał czołno od przeciwległego brzegu, od „grobli”, nad którą stał młyn i, przepłynąwszy staw, wychodził naprzeciw. Widziałem go prawie zawsze, stojącego, jak posąg, w czołnie, które popychał długim kijem, zakończonym drewnianą kulą.

Z pod słomianego, o szerokich kresach kapelusza spływały mu na ramiona długie, czarne włosy; biała zgrzebna koszula, przepasana szerokim, rzemiennym pasem, opadała na białe, parciane, wąskie porcięta, misternie od kolan, według panującej we wsi mody, gufrowane... Czerwona, zdrowa twarz śmiała się do mnie przyjaźnie.

Witaliśmy się serdecznie, po przyjacielsku. Oповідаł mi zaraz dzieje stawu od czasu mojej ostatniej na nim bytności. Kto polował, skąd przybywał i co ubijał...

Jeśli to był jakiś c. k. dygnitarz z Czerniowiec, to Zwarycz, respektując dla formy nakaz swego chlebowodawcy, woził go wprawdzie po stawie, ale tylko po jego środku i podjeżdżał do łysek, perkozów i różnych nurków, za kaczkami jednak w zarośnięte komysze nigdy się nie zapuszczał, bo te miejsca zastrzeżone były dla panów z Zaleszczyk i czujnie pilnowane. Pocziwiec nie uznawał poza nami nikogo! Mógł sobie przyjechać nawet sam namiestnik, a kaczek dla niego nie było... „Gdzieś się podziały!” — zapewniał. Jeśli zaś zjawił się kiedy mniejszy urzędnik, choćby starosta, to go nawet na czołno nie zapraszał, każąc strzelać z brzegu do łysek, wron i srok, lub do flaszek od piwa, uprzednio wypróżnionych...

Takim to panem i władcą był na stawie Danyło Zwarycz. Uważaliśmy go wszyscy za naszego przyjaciela i odpowiednio traktowali, ceniąc w nim prawy charakter i gorące przywiązanie.

Dzieliłem się z nim zawsze wszystkim, co sam posiadałem — po równej części. Nawet wtedy, gdy z troski o linję solidnie pościłem, brałem ze sobą specjalnie dla Zwarycza kawał kielbasy, kilka kromek chleba z masłem i parę cygar „skórzanych” marki „Kuba”, które on bardzo lubił. Przyznaje, iż patrząc na tego chłopca, pałaszującego z wielkim apetytem i cmokaniem ofiarowane mu przysmaki, nieraz ślinkę łykałem, poprzestając na szklance lemoniady i papierosie. Naturalnie robiłem sobie w duchu solenną obietnicę spustoszenia wszystkiego mleka i razowca, jakie wieczorem znaleźć się miały dla mnie na stole pana kasjera.

Gdy zdarzył się dzień postny, u prawosławnych dość zresztą częsty, nie jadał mój amfitrjon ani mięsa, ani chleba z masłem, lecz chował to wszystko dla „detyny”. W czasie posiłku zwykł był opowiadać barwnie i z humorem wszelakie wsiowe wydarzenia i anegdoty, nie skąpiąc wyrażen dosadnych

i soczystych, w które wszak obfituje język małoruski. Była to dusza otwarta i szczerą, a przytem najzupełniej pierwotną. Co czuł i myślał, to mówił bez fałszu i obłudy.

Ze służby wojskowej wyniósł szarżę starszego żołnierza, a z nią karność osobliwą, szacunek dla innych i — godność osobistą.



Ostęp kaczy.

Opowiadał czasem, co sobie kupił za uskładane nasze napiwki, wynoszące średnio po 5 koron za dzień pracy. Prawił, pełen wdzięczności, że... „kupyw sobi dwoje paciet”, albo „odnu telyczku”, albo i „paru czobit”...

Snul często pogodne horoskopy na przyszłość, szczególnie gdy wspominał o swej córce, jedynaczce, Nastusi.

Komiczny też wpływ wywarła nań znajomość z „panami z miasta”... Gdzieś posłyszał, że w towarzystwie za pewne zwroty czy wyrazy — przeprasza się obecnych; nie mógł jednak dojść z tem do

ładu, kiedy tak należy robić. I przeproszał wtedy, gdy się najmniej tego spodziewano. Taka to była jego kurtuazja. Raz np. opowiadał mi o złodzieju ryb, którego nawet później postrzelił i miał z tego powodu proces w sądzie, jak również i o tem, że skonfiskował mu portki, zostawione na brzegu. Przy słowie „sztany” (portki) odezwał się w ten sposób: „Za przeproszeniem pańskiego honoru — zabrau ja jemu sztany!” Gdy atoli nadmienił przytem o nagich półkulach, dostrzeżonych w sitowiu, to je nazwał po imieniu, tym razem już bez przepraszania. Tak bywało przy wszystkich innych jego powiedzeniach.

Czasem towarzyszyły mi na polowaniu, jak wspominałem, znajome panie, które siedziały koło Zwarycza na drugim końcu czółna. Gdy pomagał psu w wyszukiwaniu postrzałków w płytszej wodzie, do czego, mimo swego reumatyzmu, rwał się zawsze, zrzucał spodnie i wchodził do stawu. Znalazłszy kaczkę, wołał wesoło: „Je, kaczka, panel!” I zaraz wracał, trzymając koszulę w zębach, a zdobycz w ręce. Wtedy odsłaniał swe dorodne ruskie klejnoty rodzinne, nie krępując się tem wcale, że panie mogą go obserwować. Podchodził blisko, napoty nagi, do samego czółna i ani mu w głowie była jakakolwiek żenada. Panie, oczywiście, odwracały się czemprędzej — pełne skromności, ale drgające kąciki ust zdradzały, że przecież coś tam zobaczyły...

Wchodziliśmy wreszcie do czółna. Ubitą na błotach zwierzynę: kilkanaście kszyków, kilka dubeltów i parę kaczek chował pod deski, by je zabezpieczyć przed słońcem. Właściwe polowanie na tem kaczem eldorado dopiero teraz się zaczynało. Kaczki skupiały się szczególnie w obu odnogach.

Las trzciny, tak wysokich, że przewyższały mnie niemal wtedy, gdy stawałem na szerokiej desce, po-

łożonej wpoprzek czołna, a tak gęstych, że ledwie z wielkim trudem można było je przejechać, bronił wstępu do kaczycz mateczników. Czołno duże, rybackie, na którym w czasie połowów, odbywających się co drugi rok, wozilo się na groblę lub do zimochowów wyrosnięte karpie i szczupaki, trzeszczało pod naporem... Za każdym jego pchnięciem zrywały się stada przeróżnych gatunków, przeważnie krzyżówek i czernic. Im później pod jesień, tem ciekawsze zjawiały się odmiany. Strzelało się przed siebie, w prawo, w lewo... Po strzałach znowu inne się podnosiły. Nie sposób było nadażyć ze strzelaniem; lufy parzyły rękę! Często prawie z pod czołna wlatywały krzyżówki z łomotem i wrzaskiem...

Pies przynosił, lub szukał, a Danyło, ściągawszy „gatki”, ile sił mu pomagał. Wiele sztuk jednak przepadało w dżungli wodnej; inne znowu spadały daleko w polu i ginęły także, ku memu okrutnemu strapieniu.

Ażeby nie było za wiele postrzałków, nie kropilem do nowych, dopóki wszystkich strzelonych nie wybierałem. Pies aportował często po dwie naraz, wracał w szuwary i znowu znajdował, a na czystej wodzie nurkował nawet za zbarczonemi.

Opolowawszy jedną odnogę, zawracaliśmy do drugiej, gdzie jeszcze więcej gromadziło się zwierzyny, jako że ta już przepłoszona w niej zapadała...

*

Zanim tam dotarliśmy, musieliśmy przepływać czyste tonie. Przejazdźka środkiem zwierciadła, a nie wzdłuż brzegów, stawała się rozkosznem wytchnieniem innego rodzaju. Siedziałem z psem na przodzie czołna, Danyło stał w drugim jego końcu i wiozł nas powoli... Słońce zalewało staw huraganem światła; jego promienie, odbite od wody, osmalały twarz i ręce na brąz... Tę najmiłą przerwę

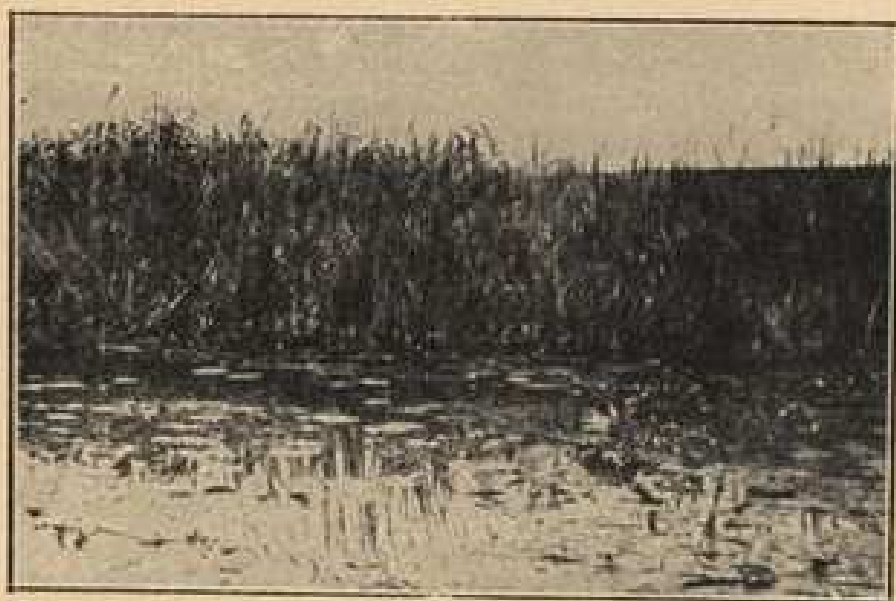
w polowaniu przeznaczałem zwykle na śniadanie dla Danyła i psa. Chętnie się posilali...

Obserwacje wszystkich przejawów zbiorowego życia na stawie zajmowały mnie wtedy bez reszty. Czasem było ono senne, jakby omdlałe, częściej bardzo ożywione. Wyskakujące z wody, zazwyczaj przed deszczem, karpie - lustrzenie, nurkujące perkozy, które wynurzały się z fal w odległościach, uniemożliwiających strzał, prujące niekiedy wodę tylko ostrzem nosa wydry, biegnące po wierzchu przerażone łyski, krążące nad odmetem chwiejnym lotem mewy i rybitwy — czasem dalekie strzały do bacznych na wszystko i unoszących się wysoko błotniaków stawowych — oto momenty, na których skupiała się cała moja uwaga w czasie tego słodkiego dolce far niente. Do tego dochodziły z brzegów, spowitych w trzciny i szuwary, przepiękne śpiewy różnorodnych ptaszków, dających owe koncerty jeszcze w sierpniu i właśnie w samo południe. A więc słyszało się głosy popków błotnych, sikor lazurowych, remizów, trzciniaaków, świerszczyków trzcinnych (*Locustella luscinioides*), które odkrył u nas pierwszy w Polsce Kazimierz hr. Wodzicki, a później pod wieczór już tylko pienia szpaków i pliszek. Składało się to wszystko razem na jakąś rajska muzykę, na popis artystów, którzy ukończyli chyba niebiańską akademię muzyczną...

Często we wrześniu widywałem także różne jastrzębie, nawet gołębiarze i sokoły wędrowne, które, korzystając chytrze z ogólnego zamieszania wśród kaczek, zjawiały się nagle gdzieś z boku, chwytaly je w locie i unosiły w szponach na odległe miejsca. Robiły to, jakby się na oko zdawało, bez żadnego zgoła wysiłku, bo kaczki same ku nim podlatywały...

Owa rekreacja na czółnie, to beztroskie podpatrywanie ruchliwego życia na stawie, ta kąpiel w przyczystem powietrzu i w słońcu, to wreszcie kochane towarzystwo moje: Danyło, pies i strzelba — skła-

dały się na bujną treść jednego dnia myśliwskiego i stanowiły zawsze radosne clou mego w Jużyńcach polowania. Jak dalece nasiąknęła wrażliwa dusza temi bajkowemi obrazami, niech zaświadczy i to, że przeżywam po raz nie wiem który, z dokładnością światłoczułą, wszystkie epizody tych nigdy niezapomnianych — szczęśliwych dni...



Wodna dzungla.

Przedwojenna ustawa łowiecka w Bukowinie pozwalała na odstrzał zające już od 15 września. (Kończył się 14 stycznia). Więc w tym czasie po kaczkach szukało się zwykle i za szarakami w wysokich trawach i kępach sitowia nad stawem. Po uprzątnięciu z pól kukurydzy i ziemniaków gromadziło się ich tam dość wiele. Pamiętam, że raz w trawiskach, zajmujących przestrzeń może 1 ha, ubiliśmy z kochanym towarzyszem, ś. p. D-rem T. Maudyburem w ciągu godziny aż 10 zające! Dalej na nie polować już nie chcieliśmy. Danyło przewiózł zaraz wszystkie na drugi brzeg stawu, do czekającego przy młynie

powozu, a my poszliśmy tymczasem na błota, na których także spotkanie z lisem, wydrą, a nawet z rogaczem nie należało do rzadkości...

Gdy jednak polowałem sam tylko, wybrawszy się pociągiem i gdy sobie uświadomiłem, że do stacji w Kisielowie było 5 km. albo więcej po bezdrożach i że ciężkie zajęce i kaczki trzeba było niekiedy nieść samemu, bo Danyło nie zawsze mógł mi towarzyszyć, odpadała ochota strzelania do wszystkich wystawionych, lub ruszonych przez Lorda zajęcy. Dwa albo trzy ubijałem najwyżej. Pakowało się je do plecaka i niosło na grzbiecie, a kaczki i inne ptactwo na trokach, w rękę...

Znając dobrze trudy powrotnej do stacji drogi, jak forsowanie dość stromych wzniesień, przekraczanie wpoprzek wysokich zagonów i t. d., opuszczałem staw zwykle na godzinę przed przyjściem pociągu, albo i wcześniej, co zależało znowu od pogody. Jeśli dopisała i było sucho, szło się rażno i szybko, bez naglącego pośpiechu. Gdy atoli zaczął pod wieczór padać deszcz i robiło się nagle ciemno, a pod nogami mokro, trzeba było żegnać się ze stawem o wiele prędzej. Powrót stawał się wtedy niezwykle mozolny.

Lord wskazywał drogę, biegnąc przede mną. Ale co chwila zawracał poto, aby się przekonać, co robię i opiekować się mną. Wierny, kochany i niezawodny przyjaciel — jakże bliskim i niezbędnym bywał wtedy!...

Czasem zrywała się burza z piorunami; wypadło przykucnąć tu i owdzie pod miedzą lub krzakiem i wypocząć. Lord przybiegał zaraz, obwąchiwał swego pana, przymilał się, piszczał, jakby chciał pocieszyć, siadał, lizał twarz i zziębnięte ręce, i ogrzewał je gorącym tchnieniem, idącym wprost z miłującego serca... Przychodziło mi na myśl, że pies zastąpi wszystkich przyjaciół...

A niechajby ktoś spróbował na mnie napaść.

W czystem polu, wśród ciemności i zdala od ludzkich osiedli nie było o to trudno. Wszak napady zdarzały się nieraz i morderstwa nawet! Mając w ręku broń, zawsze w drodze nabitą, a przy sobie wernego towarzysza, nie bałem się nikogo. Lordowi ufałem bez granic, bo wiedziałem, że rzuciłby się każdemu napastnikowi do gardła i obezwładnił go już w pierwszym ataku. Takim był... Poczulby wroga także zdaleka i na swój sposób mnie ostrzegł...

Szlak mój przecinała szosa dojazdowa do stacji. W pewnym miejscu wznosił się przy niej biały krzyż kamienny, świecący w ciemności, jakby dobroczynny znak orientacyjny. Na nim przesiadywał zwykle puszczyk i wrzeszczał, jak opętany, na widok psa — zapewne... Zabobonni chłopci powiadali, że w tem miejscu „straszy”, że „czepia się błąd”... Mnie głos sowy napelniał raczej otuchą, bo wskazywał, że już blisko stacja, z której właśnie szary ptak nocny tu zalatywał. I rzeczywiście: zaraz dostrzegałem umówione światełko, stawiane w oknie stacyjki...

By zdążyć na czas, dobywałem wszystkich sił i przychodziłem w porę. Niekiedy jednak się spóźniałem; pociąg już odszedł... Wtedy konieczny nocleg w poczekalni i długie oczekiwanie do 11-ej przed południem następnego dnia na pociąg z Czerniowiec, no i różne inne przykrości, z tem wszystkiem związane. Tem jednak nigdy się nie zrażałem i przy najbliższej okazji wyruszałem znowu koleją na staw jużyniecki. Bo te właśnie wyprawy, mające wszelkie cechy prymitywu, odpowiadały mi najlepiej, bo odradzały duchowo i wzmacniały fizycznie.

Wiele różnych innych przygód miewałem na stawie sam, wiele ich doznawali również i moi przyjaciele. Niebezpieczne zaś zawsze bywały sierpniowe, rzadkie wprawdzie, ale niemniej gwałtowne burze z piorunami, wysoka na wodzie fala, miotająca czół-

nem, jak piłką, i szczególnie powrotna jazda końmi wśród ulewy i egipskich ciemności w listopadzie.

Pewnego razu nie wziąłem ze sobą Lorda. Był chory. Pojechaliśmy wózkiem we dwóch z D-rem M. Na stawie Zwarycza także nie zastałem. Okazało się, że poszedł na jarmark do powiatowego miasteczka, Kocmania, ani przypuszczając, że w tym dniu przyjedziemy. Ruszyliśmy na zlot wieczorny sami i strzelaliśmy z brzegu. Ubiłem wtedy siedemnaście kaczek. Mój towarzysz prawie nie strzelał, bo był krótkowidzem i przez grube szkła słabo o zmroku widział. Moje trofea leżały, jak czapy na wodzie, zaczynającej się już potrosze ścinać, jako że mieliśmy na niebie piątego listopada!.. Szkoda było zostawiać taki bogaty łup dla wyder, czy innych drapieżników.

Zatem nie namyślając się długo, rozebrałem się błyskawicznie, wskoczyłem do lodowatej kąpieli i wyłowilem wszystkie kaczki... Kilka z nich wziąłem w zęby, inne w obie ręce i dopłynąłem szczęśliwie do brzegu. Ubranie się w ciągu kilku minut było dziełem łatwym, oczywiście przy akompaniamencie głośnego dzwonienia zębami, potem przebieg do młyna także drobnostką. Trzy kieliszki „szabasówki” i dwie szklanki gorącej herbaty z rumem zapobiegły przeziębieniu. Ani zakaszałem.

Zanim wszedłem do wody, musiałem wprzód stoczyć z przyjacielem ciężką walkę. Nie chciał mnie do niej puścić. Odradzał, perswadował, tłumaczył, że mam żonę i dzieci, przepowiadał zapalenie płuc i śmierć nawet!.. Nic nie pomogło, nie wstrzymał. Tylko gdy już byłem w stawie, krzyknął z pasją: — „Warjatl!”...

Warjatem był również i mój Lord. Ani zimna woda, ani łamiący się pod łapami lód, ani żadna inna przeszkoda nie wstrzymała go od dobrowolnego aportowania nastrzelanych kaczek. Dlatego też już

w piątym roku służby u mnie stał się całkiem nie-
dołączny, mając nogi zniszczone reumatyzmem.

★

Wracaliśmy raz późną jesienią we czwórkę wóz-
kiem do Zaleszczyk. Noc ciemna, choć oko wykol.
Siąpiło i zacinało. Szaruga, jak wiadomo. Konie
głupie... Wdrapałyby się na ścianę i w przepaść
rzuciły, gdyby wodze niemi tak pokierowały.

Przejeżdżaliśmy właśnie przez wieś Kisielów.
W jednym miejscu droga stromo opadała, potem
tworzyła nagły zakręt i, biegnąc krajem głębokiego
wawozu o skośnych ścianach, pięła się znowu w górę.

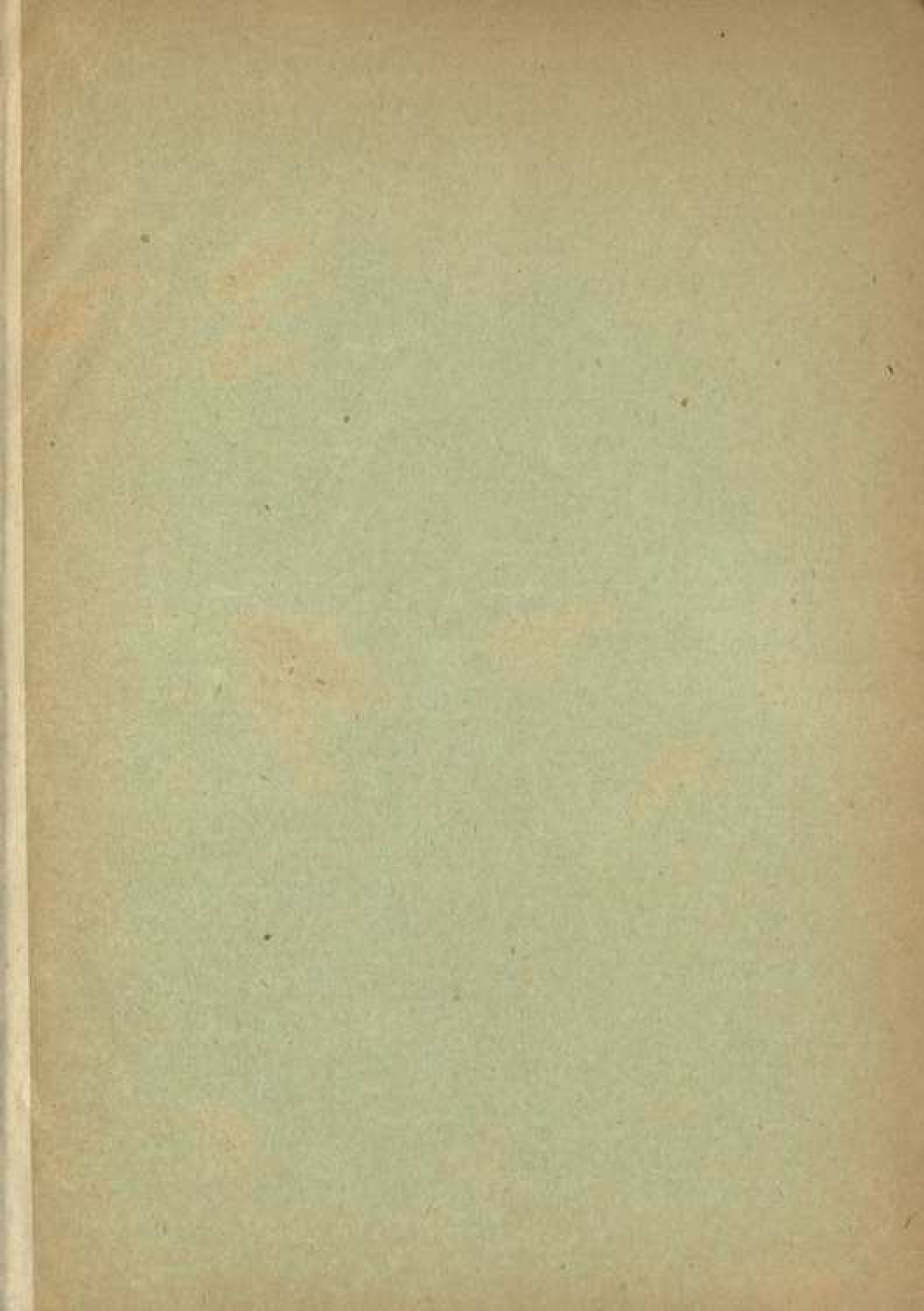
Furmanowi, który, być może, cierpiał na „kurzą
ślepotę”, pomyliła się nieco geografia. Wyjeżdżając
z zagłębienia na drodze i prac ostro pod górę, za-
miast skrócić zaraz na lewo, skierował konie na
prawo...

I odrazu nastąpiła katastrofa. Wóz się przechylił
i zrulował, a my wszyscy znaleźliśmy się na dnie
parowu. Ja wyszedłem prawie cało: mała kontuzja
w głowę i kilka zadrapnięć nie wchodziły w rachubę.
Wśród towarzyszy jednak sprawił ów pamiętny ka-
rambol gorsze i poważniejsze skutki: ktoś złamał
rękę i łożysko u strzelby, ktoś inny zgubił złoty
zegarek, a ktoś trzeci zwicznął nogę...

Jeden z koni zdarł sobie skórę z łopatki.

Nic nas jednak, młodych zapaleńców, nie odciąga-
ło nigdy od nadewszystko ulubionych łowów na ju-
żynieckich wodach; dopiero wielka wojna położyła
brutalny a kateryczny kres owym fascynującym
myśliwskim eskapadom i miłym, mimo wszystko,
przygodom.

Pozostały jeno wspomnienia, wyraźne i świeże,
jakby z dnia wczorajszego, które, nanizane na nieć
pamięci, przesuwam z pietyzmem, jak ziarna złotego
różańca, by w fantazji odtwórczej przeżywać radoś-
nie i często to wszystko, co ongiś lśniło wspaniałą
rzeczywistością.





BIBLIOTEKA
Polskiego Związku Bibliotecznego

Nr 1577 / 184
2345

70



BIBLIOTEKA

Polskiego Związku Łowieckiego

Nr **2345**